WIONOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 48 (114)
Rok III
1 XII 1963 r.

STANISŁAW GALOS

O PÓŁNOCY NA DACHU

Kiedy stanęli przed Sądem dla Nieletnich J. K., 12-letni chłopak oraz jego rówieśnik i kompan J. G., oskarżeni o to, że wieczorem usiłowali się włamać do kiosku, matka pierwszego, obecna na sali rozpraw była w równym stopniu wstrząśnięta co zawstydzona. Jej jedynakowi nie brakowało w domu przecież nic... Ojciec piastujący wysokie stanowisko w jednym z przedsiębiorstw i zjawiający sie w domu z reguły późnym popołudniem lub wieczorem interesował się chłopcem tylko wtedy, kiedy mu trzeba było wygarbować skórę lub dać kieszonkowe na łakocie. Zresztą nie szczędził mu grosza.

Matka nie łajała jedynaka nigdy. W duchu nawet buntowała się przeciwko „paskowym sposobem" wychowawczym stosowanym przez męża i na ile jej czas pozwalał (bo pracuje też zawodowo), hołubiła chłopca jak mogła, zaspokajała każdą jego zachciankę, każdy kaprys. Zaszokowana była wręcz, kiedy przyłapała pociechę na pierwszym, wcale zręcznie skonstruowanym kłamstwie. Nie łajała go za to. Przemawiała do syna, jak powinna to czynić każda matka zatroskana o jego przyszłość i krystalizujące się cechy charakteru. Zauważyła, że chłopak słucha jednym uchem. Potem parę razy na kłamstwie przyłapał jedynaka ojciec. Chłopak zaczął sie wymykać z domu na całe popołudnia. Oczywiście o przyznaniu się potem gdzie był i co robił nie było nawet mowy.

Matka zrozumiała, że straciła kontrolę nad synem. Czuła, że oddalają się od siebie, że coraz mniej rozumie swą pociechę, a on matkę. Gdzie szukać klucza do serca i umysłu dziecka? Długie rozmyślania nic jej nie dały. Zabiegana, zapracowana, zrezygnowała nawet ze skromnych chwil wytchnienia, otaczając jedynaka dodatkową troskliwością. Ale syn na zabiegi rodzicielki odpowiedział jeszcze większą skrytością i przebiegłością. Pewnego razu w ogóle nie zjawił się na noc...

I teraz ten proces, ten wstyd i szok. Dopiero na sali rozpraw dowiedziała się, że jedynak należał do młodzieżowej bandy, mającej swoje hasła i kowbojską nazwę, sosnowe szable i dębowe maczugi; bandy mającej swój żargon i „program działania", w którym oprócz zabawy przewidziano także „skoki" na kioski, prywatne ogródki i komórki.

Jak to się stało... Sąd oczywiście oddał chłopca pod kuratelę matki, zalecając zwiększenie troski i opieki nad jego wychowaniem. Ale przecież problem społeczny pozostał i pozostały bez odpowiedzi pytania, przed którymi staje bezradna matka 12-letniego J. K., przed którymi stają tysiące matek i ojców.

Przy ul. Obrońców Stalingradu 62 w nie wykorzystanych piwnicach Ośrodka Zdrowia ulokował się dziecięcy gang, złożony z różnych dzieci, mających zamożnych i niezamożnych rodziców, troskliwych i niedbałych o wychowanie potomstwa, z tzw. „zagrożonych" rodzin i „niezagrożonych", czyli cieszących się nieposzlakowaną opinią w pracy zawodowej i w życiu prywatnym. Co sprowadziło dziesięcio-, dwunasto-, czternastoletnich chłopców uzbrojonych w maczugi i inną „broń" do tych piwnic, w których była tylko prycza i szafka, wilgoć i chłód — a więc jakże odcinający się prymitywizm od fajnej zabawy, którą oferuje młodzieży harcerstwo? Żądza przeżycia dreszczyków niecodzienności i grozy, pragnienie uwolnienia się od spojrzeń starszych w nieskrępowanej zabawie?

Na pewno te elementy odegrały swoją rolę, ale w końcu przecież konspiracyjne schadzki nastolatków pozbawionych dozoru starszych, musiały się przerodzić z nieskrępowanej zabawy w młodociane chuligaństwo i rozwydrzenie, które odczuli na własnej skórze mieszkańcy sąsiednich kamienic.

Przy ul. Bohaterów Westerplatte 4 gang złożony z dzieci od... 8 do 17 lat ulokował się na dachu kamienicy, zbiórki odbywają się nocą, nierzadko o północy, przy akompaniamencie wrzasków, stawiających na nogi nawet największych śpiochów. Powiecie: harce i rozróbki dwunasto-, trzynastolatków o północy to wyłączna wina rodziców, obecnych już z reguły wtedy w domu. Będziecie mieli tutaj dużo racji. Niedbalstwu rodziców należy chyba też przypisać wiele wyczynów podwórkowych gangów, działających w dzień przed i po południu. Ale przecież tym argumentem nie podobna wytłumaczyć całokształtu zjawisk, są i — jak przykłady świadczą — stanowią znakomitą większość szczerze przejęci wychowaniem pociech rodzice, poświęcający im na swój sposób w miarę możliwości sporo czasu, ale bezradni wobec fascynującego działania na dziecko podwórkowej zbiorowości. I wytłumaczenia tego trzeba, wydaje mi się, szukać w zmianie charakteru współczesnej rodziny, jakże różnej od tej z okresu międzywojennego.

Klasyczny kształt rodziny — klanu, wyizolowanego z reszty społeczności, zamkniętego w sobie, prawie „samowystarczalnego" w sensie towarzyskim, upadł pod naporem ekonomicznych i społecznych przemian. Nie ma dziś miejsca na archaiczno-sielski model rodziny, jak nie ma miejsca na indywidualizm jednostki, wyizolowanie rodziny w tym świecie ścisłej współzależności zjawisk ekonomicznych i społecznych. Bieg wydarzeń zresztą dyktuje taki obrót rzeczy.

W okresie międzywojennym 10-letni chłopiec czy dziewczyna wychowywali się nie tylko z braćmi i siostrami, lecz także z braćmi i siostrami stryjecznymi i cioteczny-

(Ciąg dalszy na str. 2)

WIECZOREM foto. A. ŁOKAJ

rys. J. SIENKIEWICZ

Dwugłos o rodzicach i dzieciach

ELŻBIETA JAKUBOWSKA

MATKI, DZIECI I INNI

Spotkałam ją na schodach szpitalnych. Stała w sporej grupie ludzi pod drzwiami punktu informacyjnego. Nie wyróżniała się niczym, może tylko pewnym zaniedbaniem ubioru. W małym okienku raz po raz zjawiała się lekarka, udzielając informacji o stanie zdrowia dzieci przebywających na kuracji.

Wiadomości były dla jednych pocieszające, dla drugich nie. Uśmiech na twarzach jednych matek mieszał sie więc ze łzami i zgryzotą innych. Niektóre z kobiet pytały:

— Może krew jest potrzebna, ja dam, choćby dziś, teraz...

— Nie, w razie potrzeby sama o tym powiem — odpowiadała pani doktor.

To w myśl hasła widniejącego na ścianach szpitalnych: krew rodzinna leczy! W dodatku krew serdeczna.

Tamta matka nic nie proponowała. Była niecierpliwa. Wtykała w ręce lekarki zatłuszczony pakunek i prosiła dajcie mi już dzieciaka do domu. Ja będę go leczyć prywatnie.

Prywatnie?... Ubiór, zawód nie świadczyły o takich możliwościach. Gdzie zresztą są lepsze warunki do leczenia niż w szpitalu?

Lekarka powtarzała z uporem:

— Jeszcze nie teraz. Dziecko jest poważnie chore, wymaga leczenia sanatoryjnego. Przygotowujemy odpowiedni wniosek. Chcemy, aby do sanatorium pojechało prosto ze szpitala.

Matka kręciła niespokojnie głową. — Dobrze, dobrze, ale dajcie go do domu. Potrzebny mi jest... Będę go leczyć. Lekarka jednak okazała się nieustępliwa.

— Nie, nie... Badania wykazały inne schorzenia. Zresztą może o tym porozmawiamy jutro. Kobieta wyszła wyraźnie niezadowolona. Wówczas okazało się, że wszyscy ja znają.

— Patrzcie jaka teraz troskliwa! Dzieciaka tak skopała, że z połamanymi żebrami przywieźli go do szpitala, zagłodzonego, sponiewieranego. Tu dopiero odżył. Wiemy jak go będzie nadal „leczyć". Sypały się ciężkie, oskarżające pełne oburzenia słowa.

— Pijaczka, włóczy się z chłopami! Dzieciak za nią robotę wykonuje. Zamiata klatki schodowe, podwórza. Starszy chłopak — 14-latek uciekł już na ulicę. Na własny chleb. Teraz jej ten potrzebny w domu, żeby miała wiekazą swobodę, żeby miał kto najmniejszego dzieciaka nocami pilnować i bawić.

Oburzenie stopniowo malało... Każda z matek wciągnięta została w nurt swoich wcale niemałych kłopotów.

Widziałam jak kilka dni później lekarka wręczała owej kobiecie wniosek kierujący na leczenie sanatoryjne. Miała go zanieść do przychodni lekarskiej.

Czy zaniosła?

Nie wiem...

Gdyby nawet, to i tak los dzieciaka był przypieczętowany. Za kilka lat pozbawiony normalnej opieki rodzicielskiej i opiekuńczej — pójdzie w ślady brata. Na ulicę...

Wśród oburzonych nie było nikogo z Polskiego Komitetu Opieki Społecznej, Kuratorium, Sądu... Nikt spośród osób znających sytuację dzieci pozostających na opiece zdeprawowanej i żyjącej w ciężkich warunkach materialnych matki — nie wziął pióra do ręki, aby donieść o tym odpowiednim czynnikom, bodaj Towarzystwu Przyjaciół Dzieci...

* * *

Przyszła spod Jawornika. Zgarbiona, bezzębna, z beciklem, w którym leżało dziecko. Tak małe, że wierzyć się nie chciało, aby miało już cztery miesiące. Tydzień życia — najwyżej.

Było jednak inaczej. Wywiad wstępny był pozornie tylko lakoniczny.

— Które to dziecko?

— Ósme.

...a ciąża?

— Chyba dwunasta, trzy razy poroniłam, raz była ciąża pozamaciczna.

— Czym karmicie dziecko — piersią?

— Nie, od czwartego, po zapaleniu gruczołów mlecznych nie mam pokarmu. Z początku dawałam mleko krowie...

— Samo?

— Nie, z wodą.

— A teraz?...

— Z cukrem...

— Dawaliście jakieś witaminy... soczki... zupki..

Milczenie jest wymowniejsze od odpowiedzi.

Odwinięty z pieluszek dzieciak przypominał mokrego, zabiedzonego kociaka, skóra obciągała drobne kości, pałąkowaty kręgosłup. Kwiliło cicho.

Pielęgniarka otuliła malca w kocyk i uniosła na którąś z sal. Matka ani za nim nie spojrzała, nie zdobyła się na gest pożegnania, pieszczoty. Zawijała spokojnie, pedantycznie pusty już teraz becik.

— Odwiedziny w każdą środę — recytowała lekarka znana mi wcześniej formułkę. Informacje każdego dnia w godzinach...

— Pani doktor — odezwała się kobieta — proszę podać numer telefonu. Zadzwonię z gromadzkiej rady. Jak mi tu przychodzić, nie ma przy kim zostawić pozostałych dzieci.

W zasadzie tego nie robimy, ale... Lekarka wręczyła kartkę papieru z żądanym numerem telefonu. Wtedy zapytałam — przyznaję — niegrzecznie, grubiańsko.

— Po co wam tyle dzieci?

Popatrzyła chwilę ważąc widocznie odpowiedź, a potem rozłożyła ręce: — Chłop jeszcze młody, 49 lat... Rady widać na to nie ma.

— Chodziliście po radę lub po-

(Ciąg dalszy na str. 3)

AMBITNE PLANY „PORFIRIONA"

Po kilku przedstawieniach w terenie i oficjalnej premierze w stolicy województwa, rzeszowska „Estrada" wyjechała na Ogólnopolski Festiwal Zespołów Estradowych w Olsztynie. Towarzyszyły jej, jak zwykle w takich przypadkach, nadzieja i obawa. Widowisko pt. „Julia, czyli delikatność uczuć" oparte na tekstach Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego przyjęła z aplauzem miejscowa publiczność. Temperatura widowni, mierzona ilością braw, była wysoka. To upoważniało do optymizmu. Jednak krytycy zasiadający w jury mają niekiedy odmienne gusty, są bardziej wymagający, kapryszą. Werdykt komisji festiwalowej był więc miłą niespodzianką. Zespół otrzymał I nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki „za wybitne osiągnięcia artystyczne". Ponadto przyznano pięć wysokich nagród indywidualnych: **Julianowi Krzywce** za reżyserię i inscenizację, **Idze Strzeleckiej** za właściwą interpretację tekstów Gałczyńskiego i wybitne walory aktorskie, **Salomei Gawrońskiej** za oprawę scenograficzną, **Zofii Więcławównie** za choreografię i **Kazimierzowi Fic-Fontanie** za ilustrację muzyczną. Żaden z zespołów estradowych występujących na festiwalu w Olsztynie nie wpisał na swoje konto tylu sukcesów, co artyści rzeszowscy. Nic więc dziwnego, że kabaret „Porfirion", bo taką nazwę przyjął teatr estradowy w Rzeszowie, odbywa obecnie tournee artystyczne po całej Polsce i jego występy prędzej można obejrzeć w stołecznej Warszawie niż w rodzinnym mieście. Trudno. Taka jest cena sukcesu. Korzystając z krótkiej przerwy między jednym a drugim wyjazdem „Porfiriona" zwróciliśmy się do **dyrektora Państwowego Przedsiębiorstwa Imprez Estradowych w Rzeszowie JERZEGO KOBRYNIA, kierownika artystycznego i reżysera — JULIANA KRZYWKI i scenografa SALOMEI GAWROŃSKIEJ** z kilkoma pytaniami.

WIDNOKRĄG: Czytelników naszego pisma interesuje geneza spektaklu, który przyniósł zespołowi zasłużoną sławę. Czemu należy przypisać szczególny kult Gałczyńskiego? Wiadomo bowiem, że w ubiegłym roku „Estrada" wystawiła „Zieloną gęś". „Julia, czyli delikatność uczuć" jest więc drugą próbą pokazania swoistego teatru autora, uznanego za klasyka współczesnej liryki polskiej.

JULIAN KRZYWKA: Ambicją naszego zespołu jest stworzenie dobrego teatru estradowego. Chcemy zerwać ze złą tradycją składanek słowno - muzycznych, psujących smak artystyczny odbiorców. Stąd dążenie do opracowywania przedstawień jednorodnych, unikanie wypróbowanych i przez to zbanalizowanych chwytów, redukcja konferansjerki, całkowite zerwanie z mikrofonem, który nie pozwala piosenkarzowi na inscenizację, ogranicza jego możliwości aktorskie. Realizacja tych zamierzeń wymaga dobrych tekstów literackich. Poza tym Gałczyński jest nadal aktualny. Jego satyra społeczna i obyczajowa jest czytelna i świeża. Może i powinna oddziaływać na współczesnego widza. Również względy warsztatowe podyktowały wybór tekstów mistrza Ildefonsa. Wydaje się, że znaleźliśmy klucz do właściwej interpretacji jego teatru. Wiąże się to z samookreśleniem artystycznym, z wyborem tradycji i stylu.

JERZY KOBRYŃ: Warto dodać, że teksty pisane nawet przez świetnych autorów współczesnych dość często nie sprawdzają się na scenie, jeśli twórcy nie znają realnych możliwości wykonawców. Pozyskanie dobrych autorów możliwe jest tylko wtedy, gdy zespół określi swoje credo artystyczne. „Terminowanie" u Gałczyńskiego daje tę szansę naszym aktorom.

WIDNOKRĄG: Jakie trudności napotykał zespół przy realizacji „Julii"?

JULIAN KRZYWKA: Było ich dużo. Estrada rzeszowska pracuje w trudnych warunkach. Nie ma nawet odpowiedniej sali prób, nie mówiąc o scenie i zapleczu. Tymczasem koncepcja spektaklu wymagała uruchomienia olbrzymiej machiny teatralnej. W końcu udało się tak skomponować przedstawienie, by nie rezygnując z zamierzonych efektów artystycznych, eksploatować je na bardzo różnych scenach. Ponieważ spektakl jest kompozycyjną całością i bez szkody dla końcowego efektu nie można dokonywać w nim zmian, wozimy ze sobą wszystko, a więc reflektory, kotary itp. Rzecz jasna podnosi to koszty, ale zapewnia względnie wysoki poziom każdego przedstawienia. W fakturze występy „Porfiriona" zbliżone są do występów teatrów dramatycznych, co w praktyce estradowej jest raczej rzadkością.

JERZY KOBRYŃ: Dalszy rozwój artystyczny zespołu uzależniony jest w dużej mierze od tego, czy zdołamy przy pomocy kompetentnych władz uzyskać własną scenę. Dobro teatru estradowego w Rzeszowie wymaga, by stało się to możliwie szybko.

SALOMEA GAWROŃSKA: Jak ważkim problemem jest stworzenie odpowiedniej bazy, niech świadczą doświadczenia z prób nad „Julią". Łączenie różnych elementów, które miały „zagrać" w przedstawieniu było możliwe przy wcześniejszym ustawieniu zaprojektowanych dekoracji. Scenka, jaką dysponujemy w tej chwili uniemożliwiała spełnienie tego postulatu. Pracownia krawiecka mieściła się u mnie w domu. Proszę pamiętać: 64 kostiumy.

WIDNOKRĄG: Mimo trudności, powiedzmy od razu, obiektywnych trudności zespół przygotował spektakl, który stał się głośny w całej Polsce. Określił styl teatru estradowego. Jakie są plany na przyszłość?

JULIAN KRZYWKA: Słowo o zespole. Sukces, jaki stał się naszym udziałem zawdzięczamy wyjątkowo ofiarnej pracy zarówno zespołu artystycznego, jak i zespołu technicznego. Ponad czterdzieści prób nad „Julią" pozwoliło nam sprawdzić każdy szczegół. Uczyliśmy się wszyscy. Przede wszystkim współdziałania. Mam na myśli współpracę reżysera ze scenografem, choreografem, muzykiem i aktorami. Chodziło o to, by przedstawienie było syntezą naszego programu artystycznego. Nie twierdzę, że osiągnęliśmy szczyt. Czeka nas jeszcze długa i męcząca droga. Zakładamy, że kabaret „Porfirion" powinien stać się dobrym teatrem estradowym, dostarczającym masowemu odbiorcy sensownej rozrywki i rozwijającym aktorów. Dlatego plan repertuarowy układamy według dwu równoległych linii. Kontynować będziemy ten kierunek, który uzewnętrznił się w „Julii", ale nie zaniechamy estrady poetyckiej, teatru słowa. Nad czym pracuję obecnie? Od kilku lat myślę o programie, który nosi roboczy tytuł „Ballady i romanse". Będzie to pełny spektakl poświęcony rozwojowi tego gatunku literackiego. Od średniowiecznych ballad staroangielskich, francuskich i germańskich po balladę współczesną. Pewną nowością będą przerywniki pantomimiczne. Ograniczenie tekstu na rzecz plastyki ciała ma również cel uboczny: powiększenie środków artystycznego wyrazu. „Ballady i romanse" są jednak pozycją dalszą. Obecnie pracujemy nad programem w całości poświęconym 20-leciu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

JERZY KOBRYŃ: Wspomniałem już, że po naszych występach w Olsztynie i Warszawie kilku znanych autorów wyraziło chęć współpracy z „Porfirionem". Interesuje ich linia artystyczna kabaretu. Stąd można przypuszczać, że w przyszłości nie będziemy mieli kłopotów z tekstami literackimi.

WIDNOKRĄG: Estrada rzeszowska ma w swoim zespole scenografa. Wypadek raczej bez precedensu?

SALOMEA GAWROŃSKA: Tak. Żaden zespół estradowy w Polsce poza Rzeszowem nie ma stałego scenografa. Tym należy tłumaczyć przypadkowość wielu dekoracji. „Porfirion" nie może sobie pozwolić na taką lekkomyślność. Dekoracja odgrywa ważną rolę kompozycyjną, jeśli można się tak wyrazić, trzyma przedstawienie. Poza tym musi być syntetyczna, musi odpowiadać wymogom przedstawień tego typu. Scenografia dla potrzeb estrady różni się od scenografii teatralnej. Bez stałej współpracy z reżyserem i aktorami scenograf nie utrafi w styl spektaklu.

Notował:

CZESŁAW KŁAK

„Julia, czyli delikatność uczuć" — scena zbiorowa.

Fot. JERZY OLMA

O POŁNÓCY NA DACHU

(Ciąg dalszy ze str. 1)

mi. Powiernikami dzieci były ciocie i stryjkowie. Współczesna rodzina, opierająca swa egzystencje na pracy męża w fabryce, a żony np. w sklepie zawęziła się do pary małżeńskiej i jej potomstwa. Teraz ojciec szuka i dobiera sobie przyjaciół w fabryce, matka przyjaciółki znajduje wśród ekspedientek w sklepie. A dzieci? Pozbawione opieki ciotek i stryjków, towarzystwa w zabawach kuzynek i kuzynów, szukają współtowarzyszy zabaw na ulicy, na podwórku. I znajdują ich, tak samo łaknących beztroskich harców i igraszek.

I ten proces wyjścia nastolatków w poszukiwaniu rówieśników do zabaw na podwórka wydaje mi się zjawiskiem nieodwracalnym, co prawdopodobnie zrozumiała już organizacja harcerska, starając się ująć w sferę swoich wpływów te podwórkowe „światki", pomóc im w organizowaniu prawdziwej zabawy, korelowanej i kontrolowanej przez harcerzy. Szkoda, że to zainteresowanie życiem młodzieży na podwórkach ma jeszcze charakter sporadyczny i często ogranicza się tylko do okresu wakacji. Szkoda, bo właśnie trzeba postawić na harcerstwo, ono ze swoimi dobrze przemyślanymi programami zabaw jest w stanie przeszkodzić powstawaniu ulicznych gangów młodocianych chuliganów.

Czy jednak należy tylko liczyć na harcerstwo? Wydaje mi się, że nie moga na uboczu pozostać komitety blokowe, zrzeszające przecież bądź co bądź dość szerokie kręgi obywateli, najlepiej znających klimat swych podwórek, współżycie dzieci z rodzicami i resztą otoczenia, niedostatki metod wychowawczych matek czy ojców. Słyszałem, że w Łodzi pod egidą starszych powstały dziecięce komitety blokowe, do których organizacji wykorzystano właśnie najaktywniejszych rozrabiaczy z tych młodzieżowych gangów. Pozwolono im działać w ramach programu podsuniętego przez komitet blokowy starszych. I eksperyment się powiódł. Dlaczego by nie można było popróbować także u nas?

ST. GALOS

JERZY MADEYSKI

Jesienne wystawy plastyczne

Wszelkie wystawy zbiorowe, szczególnie gdy są one próbą podsumowania okresowego dorobku pewnego środowiska, skłaniają do refleksji ogólniejszej natury. Skłaniają nawet wtedy, gdy nie obejmują swym zasięgiem wszystkich artystów, działających na terenie obejmowanego przez wystawę obszaru geograficznego, nawet wtedy, gdy muszą być z konieczności traktowane jako pars pro toto, część zamiast całości. Skłaniają do uogólnień i porównań z innymi regionami, skłaniają do wyciągania dalej idących, generalnych już w skali nie okręgu, lecz kraju wartościowań.

Okazją tego typu jest aktualnie — po pobycie w Rzeszowie — eksponowana w Muzeum przemyskim Wystawa Rzeszowskiego Oddziału ZPAP. Raczej skromna zarówno pod względem biorących w niej udział artystów, jak również ilości wystawianych prac, zadziwia w pierwszym rzędzie innym niż w reszcie kraju układem proporcji ilościowych poszczególnych dyscyplin plastycznych. Nie chodzi w tym wypadku o zupełny brak rzeźby. Nic w tym dziwnego, sztuka trójwymiarowa jest od pewnego czasu kopciuszkiem naszych sal wystawowych, kopciuszkiem, równie skromnie reprezentowanym w Warszawie, Krakowie, jak we Wrocławiu czy Zielonej Górze. Zjawisko to, acz niewątpliwie szokujące dla nieprzygotowanego odbiorcy, jest jednak zjawiskiem absolutnie typowym i charakterystycznym dla obecnego całokształtu polskiej plastyki.

Nietypowym natomiast jest niemal zupełny brak grafiki, dyscypliny, grającej pierwsze skrzypce zarówno pod względem ilościowym, jak i jakościowym na większości okręgowych i krajowych ekspozycji. Grafika bowiem i to grafika wszelkich technik, jest nie od dziś asem atutowym naszej sztuki. Najbardziej wyrównana, o niezwykle wysokim poziomie i nader oryginalnych koncepcjach, przysparza nam najwięcej laurów zagranicznych, będąc jednocześnie żelaznym leaderem i największą atrakcją pokazów lokalnych.

Wśród członków rzeszowskiego oddziału ZPAP dominuje jednak malarstwo olejne. Solidne i dość wyrównane kontynuuje w większości wypadków wzory, wypracowane przez szkołę koloryzmu polskiego, wzory będące podstawą nauczania niemal wszystkich naszych wyższych uczelni plastycznych. Wystawione prace mieszczą się w szerokim kręgu zakreślonym przez pojęcie dobrej przeciętnej. Brak wśród nich dzieł wybitnych, podobnie jak zdecydowanie nieudanych, co nie znaczy jednak, by pośród niewielkiej ilości 33 prac nie można było znaleźć obrazów słabych. Owszem, niewielki odsetek zasługuje niewątpliwie na ostrą ocenę i to zarówno ze względu na swój wtórny, jak również bezproblemowy charakter, na stosowany niekiedy marsz po najmniejszej linii oporu, spychający automatycznie indywidualne dzieło sztuki do rangi seryjnego, nieambitnego tworu rzemieślniczego. Fakt ten, będąc typowym dla większości naszych salonów, nie jest jednak powodem skłaniającym do załamywania rąk, świadcząc jedynie o prawidłowym podziale postaw artystycznych na twórcze, tj. odkrywcze i bierne, tj. odtwórcze, pozbawione jasnej koncepcji i własnych poglądów na cel, oraz wygląd dzieła sztuki.

Jak to już zostało powiedziane, malarstwo rzeszowskiego oddziału ZPAP jest malarstwem solidnym i opartym na wypróbowanych podstawach. Zjawisko to szczególnie obecnie, w okresie, w którym jesteśmy świadkami częstego załamywania się koncepcji ostatnich awangard, załamywania się, doprowadzającego nieraz do powstawania dzieł obliczonych wyłącznie na zadziwienie odbiorcy nową, oryginalną formą przy zupełnym pominięciu treści emocjonalnych, można uznać za zjawisko raczej pozytywne. Plastycy ziemi rzeszowskiej mieszczą się w partiach centralnych naszej sztuki. Dalecy od ścisłej formuły naturalizmu, bądź nawet wąsko pojętego realizmu, są równie dalecy wszelkim skrajnym — takim jak taszyzm lub tableau object — systemom obrazowania. Z reguły figuratywni czerpią wszelkie impulsy z regionów świata widzialnego, przetwarzając jego kanony w sposób indywidualny. Główną metodą ich działania jest synteza zarówno formy, jak i barwy, doprowadzana niekiedy do granic bezprzedmiotowości, oddającej nie tyle kształt zewnętrzny, ile nastrój rzeczywistości. Te słuszne skądinąd zamierzenia nie pozbawione są pewnych mankamentów wykonania. Głównym spośród nich i rzutującym zarówno na ostateczny wygląd, jak i działanie emocjonalne dzieła, jest panująca dość powszechnie niedbałość przeprowadzania słusznych skądinąd i interesujących zamierzeń plastycznych. Wiele obrazów sprawia po prostu wrażenie nieukończonych, niedopracowanych, lub — mówiąc językiem malarskim — puszczonych. Stanowczo zbyt często kompozycja, w założeniu statyczna i wyważona, chwieje się skutkiem niewłaściwego układu form i plam barwnych, zbyt często również kolor, kładziony w myśl zasad harmonijnej gamy, staje się w niektórych partiach obrazu martwy, lub też przeciwnie — jadowicie ostry i nierozmalowany.

Klasycznym przykładem niedopracowania są m. in. obrazy bardzo zresztą utalentowanego Mariana Stelmasika. Jego malowane z temperamentem i dużym wyczuciem koloru kompozycje zyskałyby niewątpliwie na jakości przy pewnej, dość zresztą daleko posuniętej eliminacji nadmiernego jak dotąd bogactwa form, a w szczególności po ściszeniu niezamierzonych chyba dysonansów barwy. Przeciwnie, pewne oczyszczenie palety wyszłoby na korzyść ładnemu w podziałach pejzażowi Zdzisława Ostrowskiego. Dużo dyscypliny twórczej wykazuje utrzymany w dźwięcznych szarościach „Pejzaż zimowy" Barbary Smoczeńskiej i podobnie oszczędny w kolorycie „Zamek w Wiśniczu" Mariana Ziemskiego, dobry, wrażliwy monochromatyzm Stanisława Szmuca oraz biegłe, dość tradycyjnie pojmowane rysunki Cezarego Kotowicza.

Trudno jest oczywiście wymienić przy omawianiu wystawy zbiorowej wszystkich, zasługujących na wyróżnienie. Ich ilość można by było rzecz jasna powiększyć o pewną jeszcze sumę nazwisk, lecz jak to już zostało zaznaczone, wystawa tego typu skłania w większym stopniu do uogólnień niż pobieżnego z konieczności omówienia dorobku poszczególnych twórców. Okazją bowiem do szczegółowej analizy jest wystawa indywidualna, taka, jaka była eksponowana w teatrze im. Wandy Siemaszkowej kolekcja obrazów Roberta Pełczyńskiego.

Pełczyński jest plastykiem bardzo młodym (ur. 1933) przechodzącym, jak to się mówi — okres pokwitania artystycznego, wraz z przynależnym dla tego okresu, zwanego również „okresem ciemnym" — procesem poszukiwań własnej drogi artystycznej, własnych środków wyrazu i oczyszczania własnej wizji plastycznej z wyniesionych z akademii wzorów, płynących bądź to ze strony pedagogów, bądź też wybranych spontanicznie mistrzów naszego i obcego malarstwa. W okresie tym nie może więc dziwić ani bogactwo i różnorodność rozwiązań jak zainteresowań, podobnie, jak nie może dziwić pewne niezdecydowanie w wyborze konwencji malarskiej. Wręcz przeciwnie, wszystkie te działania, wszystkie przeskoki, wszystkie wreszcie próby są najzupełniej prawidłowe i korzystne dla przyszłego rozwoju krystalizującej się dopiero osobowości twórczej. Pełczyński też oddaje się im z pasją i temperamentem. Interesuje go wszystko — klasyczny koloryzm i geometria, abstrakcja i sztuka przedstawiająca, taszyzm i ekspresjonizm, słowem wszelkie niemal uprawiane obecnie konwencje plastyczne. Jednocześnie, jak na młodego malarza przystało, stara się wykazać i wypróbować wszystkie możliwości swojego warsztatu, co doprowadza go prostą drogą do przeładowania kompozycji zbędnym bogactwem szczegółów, a to ze swej strony — do pewnej chaotyczności i zaciemnienia zasadniczej koncepcji obrazu.

Dlatego też najlepszymi są przykłady należące do dwu ekstremalnych orientacji — z jednej strony obrazy studyjne, noszące jeszcze na sobie wyraźne piętno akademii — z drugiej najbardziej dojrzałe, oszczędne, linearne kompozycje bezprzedmiotowe, oparte na ogólnej zasadzie dwu zasadniczych barw i zwartych, czysto przeprowadzonych podziałów formy. Cóż, nie od dziś wiadomo, iż mistrza poznaje się w ograniczeniach, którą to prawdę nie tylko zresztą Pełczyńskiemu dedykować należy.

Matki dzieci i inni

(Ciąg dalszy ze str. 1)

moc do doktora? Można przecież niepożądanej ciąży zapobiec.

Kobieta się żachnęła. Toć to kościół zakazuje...

Co jej mogłam odpowiedzieć? Życie, podporządkowanie nakazom płynącym z ambony i tak dało się jej mocno we znaki. Pewnie za rok przyjdzie tu znów z dziewiątym, jeszcze bardziej scherlałym potomkiem. Kto to wie...

* * *

Te dwie autentyczne historie składają się na portret matek, jakich zapewne jest niewiele. Przed szerszym uogólnianiem przestrzega postawa własnej rodzicielki. Równocześnie jednak każe wyczulić uwagę na podobnie drastyczne wypadki. Dość chyba częste. Nie winię jednak wyłącznie tych kobiet.

Dlaczego tej obarczonej licznym potomstwem kobiecie nie powiedziano w porę, jak się niepożądanej ciąży zapobiega? Przebywała przecież kilkakrotnie w szpitalu, dlaczego wówczas milczano?

Jest tyle poradni matki i dziecka. Dotąd jednak nie pokuszono się o systematyczne docieranie do tych kobiet — matek, co do których nie ma wątpliwości, że wymagają opieki i pomocy. Dlaczego?

Zmowę milczenia wokół tych — przyznaję — drażliwych spraw przerwał dość skutecznie Związek Młodzieży Wiejskiej, organizując wiejskie szkoły zdrowia. Uczestniczkami ich są głównie młode dziewczęta. Dobre i to. Będą lepiej przygotowane do trudnej roli matki i żony niż ich własne matki.

Pewne kroki podjęło Towarzystwo Świadomego Macierzyństwa i... ojcostwa, co tak słusznie jest podkreślane. Towarzystwo nie dociera jednak w dostatecznym stopniu na wieś. Jest okazja ku temu. We wsiach rzeszowskich zorganizowano tej jesieni szkolenie specjalne dla kobiet. Niech te zagadnienia łącznie z odpowiednią literaturą znajdą się obowiązkowo w programie. Kobiety wiejskie, zwłaszcza w średnim wieku są w wielu wypadkach godne pożałowania.

Kto w końcu, przy jakich okazjach będzie rozmawiał na takie tematy z mężczyznami? Jak dotąd poza sporadycznymi wypadkami pozostają oni poza zasięgiem jakiegokolwiek działania zmierzającego do podniesienia i określenia roli mężczyzny w świadomym tworzeniu rodziny, o którym nie może decydować przypadek czy też zapomnienie się. A młodzi mężczyźni?

Kiedy wreszcie Rzeszów doczeka się poradni przedmałżeńskiej z prawdziwego zdarzenia? Takiej na wzór krakowski. Obecny zalążek mimo ofiarnej pracy lekarzy i aktywu TSM urąga tej poważnej sprawie.

Życie wielu kobiet, głównie zaś tragedia dzieci dostatecznie jasno wyznaczają kierunek społecznego działania.

E. JAKUBOWSKA

ADOLF JAKUBOWICZ

ZBLIŻENIA

PAMIĘTAM atmosferę tamtej sesji. Nie miała ona nic z drętwych jałowych posiedzeń z niemrawą dyskusją i nudzącym się audytorium.

Przeglądam kartki notesu. Notesu, dziś „archiwalnego". 31 maja 1960 r. Problem sesji: „Rozwój kultury wsi i małych miasteczek". W prezydium sesji — wiceminister kultury Zygmunt Garstecki. Referat wprowadzający wygłasza kierownik Wydziału Kultury Prez. WRN. Omawia aktualny stan bazy lokalowej placówek kulturalno-oświatowych, mówi o finansach, kadrach, kierunkach działalności. Obiektywnie, rzeczowo, może zbyt łagodnie mówi o sprawach wprost skandalicznych. Bo co można powiedzieć o radach narodowych, które w ogóle nie przewidziały w budżetach środków na zakup książek?...

Referent stwierdza: „Na 24 powiatowych i wiejskich bibliotek publicznych połowa otrzymała kredyty na zakup książek w wysokości roku ubiegłego, 1/4 — kredyty niższe, lub nie otrzymała ich wcale, a tylko 1/4 ma na ten cel zwiększony fundusz"... (co z placówkami nowo zorganizowanymi?).

„Przeciętnie na jednego mieszkańca wydajemy na zakup książek 1 zł 30 gr, w tym w mieście 2 zł 36 gr, na wsi złotówkę. Przeciętny statystyczny czytelnik nie otrzymuje nawet jednej nowej książki rocznie".

Gdzie szukać przyczyn tego stanu rzeczy? Zabiera głos przewodniczący Komisji Oświaty i Kultury WRN w Rzeszowie Józef Wójtowicz. Jego przemówienie to koreferat do poprzedniego wystąpienia.

Na sali poruszenie. Padają nie tylko liczby, ale konkretne przykłady zbyt niefrasobliwego traktowania problemów kultury przez rady narodowe, przykłady drastycznych zaniedbań w tym zakresie właśnie na wsi i w małych miasteczkach. Bibliotekarka w bibliotece... bez pieca. Miejsce akcji — Rzeszów, miasto wojewódzkie — dzielnica Budy. Powtarzające się przykłady wyrzucania bibliotek do jeszcze gorszych pomieszczeń...

Na sali ogólna wesołość: Kilka miesięcy temu w pomieszczeniu dawnej biblioteki usiłowano otworzyć... areszt.

Biblioteka na strychu, wchodzi się do niej po drabinie. Bezpańskie świetlice. Co z nimi zrobić po gromkich dziennikarskich odezwach o ich kompletnej bezużyteczności?

Kilkakrotnie w czasie przemówienia Wójtowicza — oklaski. I znów przykłady, liczby, wnioski. 11 gromadzkich rad narodowych w powiecie dębickim przeznacza na potrzeby bibliotek po 21.700 złotych. Rzecz dotąd raczej niespotykana. Miejska Rada Narodowa w małym Cieszacinie daje 50.000 złotych na zorganizowanie czytelni.

W roku poprzednim z funduszów Wydziału Kultury Prezydium WRN utworzono 7 takich placówek. Ofiarni, pracowici ludzie z wiejskich placówek. Z 392 bibliotekarzy tylko 61 jest na etatach, pozostali wynagradzani są ryczałtowo. Przeciętna wysokość ryczałtu 300 złotych.

Po dwóch zasadniczych wystąpieniach dyskusja, w wielu wypadkach ostra, polemiczna, ale nacechowana wielką troską, by w środowisku wiejskim stanowiącym trzy czwarte mieszkańców województwa dokonać bardziej widocznych zmian w zakresie upowszechnienia rozwoju kultury.

A potem podsumowanie, ciepłe słowa ministra Garsteckiego i oficjalny dokument będący zbiorem praktycznych wskazań, jak należy realizować te wszystkie mądre i słuszne postulaty.

Otrzymał on w aktach WRN kolejny numer 15. Nie fetyszyzuję wagi podobnych uchwał. Wiem ile najbardziej słusznych, i celowych wniosków nie jest realizowanych i pozostaje na papierze.

Ale jest w uchwale numer 15/60 „O rozwoju kultury wsi i małych miasteczek" wydanej przez rzeszowską WRN w maju 1960 roku wartość, która sprawia, że teraz po trzech z górą latach jest to program, który nie stracił na swej aktualności, że podstawowe jej wskazania mogą być jeszcze przez szereg lat realizowane. Działacze kultury w województwie rzeszowskim znają dobrze ten dokument. Posługiwali się nim niejednokrotnie przy załatwianiu wielu lokalowych, kadrowych i finansowych potrzeb.

Uchwała jest bowiem dobrze osadzona w rzeczywistości. Określa kierunki działania na wsi i w małych miasteczkach, ale pokazuje też od czego zależy pomyślna ich realizacja. Jest to program, który zmierza do tworzenia we wsi dobrze działających, właściwie wyposażonych, znajdujących się w odpowiednich pomieszczeniach, ogrzanych i oświetlonych placówek kulturalno-oświatowych.

Nie kilka rachitycznych, brudnych, z kilkoma połamanymi stołkami świetlic, ale jedna z prawdziwego zdarzenia świetlica, czytelnia, klub, szkoła — oto praktycznie realizowany już od kilku lat „model" kultury gromadzkiej w Rzeszowskiem.

Trzy i półletnia praktyka stwarza możliwości porównań i konfrontacji. Z tego chyba stwierdzenia wyszła Wojewódzka Rada Narodowa podejmując decyzję, by na wrześniowej sesji dokonać oceny realizacji uchwały Nr 15/60. Zamiar na pewno słuszny i usprawiedliwiony, ale mimo starannego przygotowania materiałów, mimo kilku interesujących wypowiedzi na tematy związane z problemami kultury wsi i małych miasteczek, sesja nie spełniła w tym punkcie pokładanych w niej nadziei.

Nie mogło zresztą być inaczej. Trudno wymagać od radnych, aby w jednodniowych obradach, gdy porządek dnia przewidywał podstawowe w tym czasie problemy w zakresie produkcji rolnej, niełatwe zagadnienia budownictwa, mogli wystarczająco wiele uwagi poświęcić merytorycznej, rzeczowej dyskusji o tym, co zrobiliśmy w zakresie upowszechnienia kultury na wsi, czego nie dokonaliśmy i dlaczego.

Nieprzypadkowo więc chyba stało się, że Egzekutywa Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Rzeszowie odbyła 8 bm. posiedzenie o identycznej co sesja WRN z 1960 r. problematyce. Ktokolwiek chce dziś w naszym województwie kształtować rozwój życia kulturalnego musi uwzględniać zapotrzebowanie, aktualny stan i braki występujące w tej dziedzinie właśnie w środowiskach wiejskich i małomiejskich. Jest to warunek podstawowy, który wynika z rzeczywistej struktury społecznej naszego terenu.

Egzekutywa wysłuchała informacji na temat stanu i perspektyw pracy kulturalno-oświatowej w tych właśnie środowiskach. Informacja w sposób szczegółowy i konkretny pokazała, że trzyletni okres dzielący nas od ogłoszenia uchwały przyniósł w województwie szereg interesujących inicjatyw kulturalnych. Zmienił się klimat dla potrzeb kultury, nastąpiła aktywizacja wielu środowisk, poszerzono szereg tradycyjnych dotychczas form pracy kulturalno-oświatowej. Województwo jak nigdy dotąd zaczęło pod wieloma względami wyróżniać się w skali ogólnopolskiej. Realizacja uchwały przyniosła poprawę sytuacji lokalowej, finansowej, kadrowej. W wielu powiatach w poważnym stopniu rozwinęła się aktywność kulturalna rzeszowskiej wsi.

Przykłady?

Przeżywaliśmy szybki rozwój czytelnictwa. Z 1000 — 2500 nowych czytelników rocznie w latach 1956 — 1958, do 20.000 nowych czytelników rocznie w latach 1960, 1961, 1962.

Zakończyliśmy organizację sieci bibliotek gromadzkich. Prawie przy 30 proc. bibliotek wiejskich mamy już czytelnie. W wyniku realizacji uchwały powstało ich prawie 200. W roku 1961 — zakupiliśmy rekordową w skali krajowej liczbę książek za kwotę 3.800.000 złotych.

Inna rzeszowska inicjatywa: kina oświatowe. Ze 144 aparatów projekcyjnych wykorzystywanych do wyświetlania filmów w roku 1961,

(Ciąg dalszy na str. 4)

FOTOGRAFIKA ZDZISŁAWA POSTĘPSKIEGO

W połowie września 1954 r. wzgórza obok Komańczy zakwitły bielą i zielenią namiotów, wokół których kręciły się i rozpalały ogniska turystyczne włóczęgi z całej Polski. Rozpoczynał się I Rajd Górski w Bieszczadach, impreza, która zapoczątkowała powojenny ruch turystyczny w tym pięknym zakątku naszej ziemi, trwający nieprzerwanie do dziś.

Już na pierwszym odcinku trasy oniemieliśmy z zachwytu. Po kilku godzinach marszu rozbłysła bowiem niespodziewanie w lesie tafla Jeziorek Duszatyńskich. Usiedliśmy, w milczeniu podziwiając piękno leśnej wody, z której sterczały samotne wierzchołki jodeł zapadłych hen na dno przed wielu laty.

Po tygodniu wędrówki, która zawiodła nas aż na szczyt Halicza wróciliśmy do swoich domów. Płynął czas, bieszczadzkie krajobrazy zacierały się w pamięci.

Nieoczekiwanie któregoś dnia zetknąłem się z nimi znów... w śródmieściu Rzeszowa. W gablocie PTTK przy ul. Kościuszki lśniły wody Jeziorek Duszatyńskich. Były takie same jak wówczas we wrześniu. Spokojne wodne lustro z odbijającymi się w nim obłokami i ciemną postrzępioną ścianą lasu, przybrzeżne trawy, drzewa i grupa dziewcząt z plecakami, które zatrzymały się tutaj w turystycznej włóczędze. Kto zrobił to zdjęcie? Kto potrafił tak uchwycić i oddać nie tylko scenerię, ale i atmosferę tamtego rajdu? U dołu gabloty był podpis: fot. — Zdzisław Postępski.

Od tej chwili upłynęło wiele lat. Setki tysięcy ludzi przewinęły się przez Bieszczady — większość z aparatami fotograficznymi u boku. A jednak nie widziałem dotąd zdjęć Jezior Duszatyńskich, które choćby w przybliżeniu oddawały ich piękno, tak jak fotogramy Zdzisława Postępskiego.

I oto znów widzimy Bieszczady w całej ich krasie na wystawie fotografiki tego autora, otwartej tydzień temu w salach rzeszowskiego Biura Wystaw Artystycznych. Potok nasiczański, Połonina Caryńska, Halicz widziany z Krzemienia, puszcza bukowa — oto niektóre tylko fotogramy budzące tęsknotę za górami u tych, którzy już je widzieli i podziw dla ich piękna tych, co je dopiero teraz oglądają.

Jest bowiem mgr Postępski (z wykształcenia prawnik i ekonomista) fotograficznym piewcą naszych gór i w ogóle najpiękniejszych zakątków naszej ziemi. Przemierza ją wzdłuż i wszerz (drugie hobby: turystyka), kierując obiektyw swego aparatu na najciekawsze zabytki, na najbardziej urocze krajobrazy, utrwalając na taśmie wielkie budowy ludzi, którzy je wznoszą.

Wyniki tej pracy mają często ogromną wartość historyczną, powstają dokumenty wielu rzeczy i zjawisk — które już przeminęły bądź znikają powoli niszczone przez czas, zmieniane przez ludzi.

Nie ma niemal wydawnictwa o Rzeszowszczyźnie, w którym nie byłoby zdjęć Z. Postępskiego. Wykorzystywano je często do plakatów i folderów propagujących piękno naszej ziemi, widniały na niejednej wystawie ogólnopolskiej i były nagradzane (tylko w roku bieżącym dwa wyróżnienia na Ogólnopolskim Biennale Fotografii Turystycznej oraz wyróżnienie specjalne na Krajowym Konkursie „Las w fotografii"). Korzystała z nich chętnie prasa centralna, nasi zaś czytelnicy znają wiele z nich ze szpalt „Widnokręgu".

Trafiały także za granicę. Za ich pośrednictwem poznawali uroki naszej ziemi widzowie organizowanych przez Federację Stowarzyszeń Fotograficznych wystaw w Bordeaux, Wiedniu, Berlinie, Montpellier, Brnie, Brugge i Liverpoolu.

Wystawa otwarta ostatnio w Rzeszowie jest jakby przeglądem całego dorobku Z. Postępskiego. Jej trzonem są fotogramy eksponowane w styczniu br. na jego wystawie indywidualnej, zorganizowanej w Warszawie przez tamtejsze Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych. Do nich dołączył autor pojedyncze zdjęcia z kilku poprzednich wystaw („Stare i nowe oblicze ziemi rzeszowskiej", „Na szlaku Moskwa — Krym" i in.) oraz kilka najnowszych prac, świadczących o nowych tematycznych zainteresowaniach Z. Postępskiego. Czołowym reprezentantem tej ostatniej grupy jest fotogram „Dwie epoki" (reprodukowany niedawno w „Widnokręgu" pt. „Pokolenia") świadczący, że obok krajobrazu, architektury, zabytków, tematem jego zdjęć staje się człowiek oraz przeobrażenia zachodzące na Rzeszowszczyźnie (zdjęcie z budowy dróg, linii kolejowej itp).

Temat jest u Zdzisława Postępskiego sprawą pierwszoplanową. Nie ulega on żadnym smaczkom i ciągotom do fascynowania formą, superoryginalnym ujęciem, frapuje go przede wszystkim treść tego co fotografuje — a celem jego prac jest przekazanie odbiorcy pewnej wiedzy o fotografowanym obiekcie. Obiekty te dobiera starannie, jest fotografikiem zaangażowanym, dającym w swojej pracy świadectwo piękna naszej ziemi i kronikarzem przemian, jakie się na niej dokonują.

Za wystawę przy placu Zwycięstwa należy się autorowi oraz kierownictwu BWA duże uznanie. Cieszy nas także zainteresowanie i poparcie Wydziału Kultury Prez. WRN dla tej imprezy, pozwala bowiem przypuszczać, że być może będziemy mogli oglądać u nas podobne wystawy (fotograficzne) nieco częściej niż raz do roku, jak to się dzieje dotychczas.

WITOLD SZYMCZYK

POTOK CARYŃSKI — fot. Z. POSTĘPSKI

Nowe osiągnięcie filmowców amatorów

Amatorski ruch artystyczny Rzeszowszczyzny odnotował kolejny sukces na imprezie ogólnopolskiej, tym cenniejszy, że odniesiony przez najmłodszą gałąź tego ruchu — film amatorski. Mam na myśli zajęcie przez Amatorski Klub Filmowy DK WSK w Rzeszowie „Rzech" I miejsca w dziale filmu oświatowego na XI Ogólnopolskim Konkursie na Film Amatorski, który odbył się w dniach 15—17 bm. w Gdańsku. O imprezie tej i pracy AKF „Rzech" rozmawiamy z jego kierownikiem, Jerzym Olmą.

—Jak przebiegał tegoroczny konkurs?

Impreza ta ma już 10-letnią tradycję i co roku organizowana jest w innym mieście. Tegoroczny konkurs obsadzony był bardzo licznie. Zgłoszono do niego 102 filmy, z których zakwalifikowano do ostatecznej konkurencji aż 50. Spośród nich jury II stopnia złożone z filmowców i krytyków filmowych, a pracujące pod przewodnictwem znanego, wybitnego reżysera Andrzeja Wajdy wyłoniło zwycięzców konkursu. Grand Prix otrzymał film „Żołnierzyki" zrealizowany przez AKF X Muza z Gdańska. Pierwsze nagrody w poszczególnych działach otrzymały filmy: „Zamknięty dzień" AKF z Gdańska — za film fabularny, „Żyję kulturą mojego miasta" z Kielc — za dokument, „Wielki świat małych ludzi" — w dziale filmów różnych oraz nasze „Przyrządy składane" — za film oświatowy.

— Czy możecie powiedzieć coś o pracy nad waszym filmem?

— „Przyrządy składane" są filmem dla fachowców o korzyściach i zastosowaniu nowych przyrządów (złożonych z poszczególnych elementów) do obróbki metali. Jego scenarjusz był gotowy w grudniu ubiegłego roku, do realizacji zaś przystąpiliśmy 3 lutego br. Scenariusz pisaliśmy wspólnie z inżynierem Krzysztofem Magrysiem. Ja także byłem reżyserem filmu. Zdjęcia są dziełem Tadeusza Piotrowskiego, montaż zaś — Bronisława Durdy. Film prezentowaliśmy na ogólnopolskiej naradzie SIMP-u, w instytucjach i zakładach przemysłowych Łodzi, Warszawy i innych miast kraju. Mimo dobrego przyjęcia przez widownię, nie bardzo wierzyłem, byśmy mieli większe szanse na konkursie ogólnopolskim. Był to przecież mój debiut jako scenarzysty i reżysera, naszymi konkurentami zaś były filmy starych i znanych AKF-ów.

— Sukces był więc przyjemną niespodzianką. Liczy się on tym bardziej, że jak podawała prasa gdańska, filmy oświatowe okazały się najbardziej interesującymi filmami XI Konkursu w przeciwieństwie do licznych, ale rzadziej udanych utworów fabularnych. A jakie są dalsze plany „Rzecha"?

— Obecnie musimy ukończyć montaż i udźwiękowienie takich filmów, jak „Wizyta Aleksandra Zawadzkiego na Rzeszowszczyźnie" i „Wejście do I ligi" — o rzeszowskiej Stali. Ukończenia wymaga także inny nasz film „Stadion". Wkrótce zaprezentujemy widowni nową wersję znanego kolorowego filmu o Bieszczadach. Będzie on miał inny komentarz i kilka nowych ciekawych scen. Poza tym chcielibyśmy bardzo wszyscy, by klub nasz na XII Ogólnopolskim Konkursie w Lublinie, który odbędzie się w roku przyszłym wystąpił nie w jednej, ale we wszystkich konkurencjach.

—Plany szerokie i ambitne...

— I realne, pod warunkiem, że do naszej klubowej czternastki dojdą nowi członkowie. Obecnie prowadzimy właśnie zapisy, a w grudniu rozpoczniemy szkolenie. Wykładać będą m. in. zawodowi filmowcy, absolwenci łódzkiej WSFiT. Zależy nam bardzo, by ze szkolenia tego mogło skorzystać jak najwięcej osób. Chciałbym zaapelować zatem do wszystkich, szczególnie zaś do studentów rzeszowskich wyższych uczelni, o przystąpienie do naszego klubu i spróbowanie sił w tak pięknej dziedzinie, jaką jest film amatorski.

— Chętnie przekażemy ten apel naszym czytelnikom.

Rozmawiał: (w. sz.)

Filmowcy amatorzy z AKF „Rzech" przy pracy nad filmem „Przyrządy składane".

MARIA TRYBULSKA, działaczka oświatowa wśród młodzieży wiejskiej, wiceprzewodnicząca ZW ZMW. rys. J. SIENKIEWICZ

Zamiast podsumowania

W związku z polemicznymi artykułami na temat charakteru i zasad organizacji wiejskich klubów prasy i książki „Ruch" („Widnokrąg" z 27 X i 10 XI br.) otrzymaliśmy wiele listów, w których czytelnicy nasi wypowiadają się na poruszony w artykułach temat. Niestety, ze względu na szczupłą objętość „Widnokręgu" nie możemy wydrukować tych listów na naszych łamach. Zamiast podsumowania dyskusji publikujemy natomiast pismo Wydziału Kultury Prezydium WRN, które formułuje pewne zasady powstawania i działalności wiejskich klubów prasy i książki „Ruch", zasady w pełni pokrywające się z postulatami większości naszych czytelników. A oto tekst tego pisma (z niewielkimi skrótami):

PREZYDIUM WOJEWÓDZKIEJ RADY NARODOWEJ
W RZESZOWIE
WYDZIAŁ KULTURY

Rzeszów, dnia 17 listopada 1963 r.

Centralny Zarząd Upowszechnienia Prasy i Książki „Ruch" oraz Związek Młodzieży Wiejskiej podjęły inicjatywę organizowania na wsi klubów prasy i książki „Ruch". Placówki te mają łączyć funkcję kiosku, czytelni i kawiarni.

Na terenie naszego województwa powstało już 20 takich klubów. Wydział Kultury w pełni popiera tę inicjatywę, zwracając jednocześnie uwagę na konieczność przestrzegania następujących zasad przy organizacji klubów w placówkach podległych radom narodowym:

1. Kluby powinny powstawać przede wszystkim we wsiach, w których dotychczas nie ma żadnych placówek kulturalno-oświatowych.
2. W następnej kolejności kluby prasy i książki powinny być organizowane w placówkach kulturalno-oświatowych, nie wykazujących się żywotną działalnością lub źle wyposażonych.
3. Nie jest wskazane zakładanie kiosków sprzedaży w bibliotekach.
4. Sprzęt i urządzenie niezbędne do prowadzenia czytelni, kawiarni i punktu sprzedaży oraz do prowadzenia działalności kulturalno-oświatowej zapewnia „Ruch", korzystając z pomocy zainteresowanych organizacji i ofiarności społeczeństwa.
5. Lokal, w którym powstaje klub, pozostaje własnością dotychczasowego użytkownika.
6. Merytoryczna opieka nad działalnością klubów oraz dokształcaniem kierowników jest obowiązkiem wydziałów kultury rad narodowych, powiatowych domów kultury i poradni instrukcyjno-metodycznych.
7. Nad działalnością kulturalno-oświatową klubu i współdziałaniem z instytucjami oraz organizacjami społeczno-kulturalnymi czuwać powinna, podobnie jak w innych placówkach, rada społeczna (rada świetlicowa).
8. Praca klubów powinna być oparta na programach zaakceptowanych przez rady społeczne klubów oraz wydziały kultury prezydiów powiatowych rad narodowych. Placówki powiatowe oraz wojewódzkie zobowiązane są do udzielania pomocy w opracowywaniu tych programów.

Z-CA KIEROWNIKA WYDZIAŁU
MGR JÓZEF KANIK

Zdarzenia tygodnia

Z premierą sztuki Juliana Ursyna Niemcewicza pt. „Powrót posła" występuje w sobotę 30 XI br. Państwowy Teatr im. Wandy Siemaszkowej. Reżyserem jest Elwira Turska, a oprawa plastyczna opracowana została w projektu Ireny Perkowskiej.

* * *

Z inicjatywy Biura Wystaw Artystycznych w każdy czwartek odbywają się w Rzeszowie, w lokalu przy placu Zwycięstwa 2 „Wieczory rozmów o sztuce". Wykład inauguracyjny pt. „Rzeczywistość a sztuka" w czasie pierwszego „wieczoru" wygłosił profesor Akademii Sztuk Plastycznych w Krakowie dr Włodzimierz Hodys. Impreza wzbudziła ogromne zainteresowanie.

* * *

W Klubie Fabrycznym Zakładów Metalowych w Nowej Dębie otwarto wystawę prac dwóch plastyków rzeszowskich Jana Maternickiego i Adolfa Jakubowicza. Natomiast w klubie Zakładów Tworzyw Sztucznych w Pustkowie czynna jest wystawa malarstwa Mariana Ziemskiego.

* * *

4 grudnia br. odbędzie się w Rzeszowie impreza 87 Zgaduj-Zgaduli. Wystąpią artyści jugosłowiańscy i polscy. Z popularniejszych polskich artystów zobaczymy Renę Rolską, Jadwigę Swirtun, Edwarda Dziewońskiego i Jerzego Połomskiego.

* * *

W województwie rzeszowskim bawi zespół Państwowego Przedsiębiorstwa Imprez Estradowych z Lublina z programem „Brawo bis". Artyści lubelscy wystąpią w mniejszych miejscowościach województwa.

* * *

W ramach II Ogólnopolskiego Festiwalu Sztuk Rosyjskich i Radzieckich w Katowicach rzeszowski Państwowy Teatr im. W. Siemaszkowej wystąpił ze sztuką Maksyma Gorkiego „Jegor Bułyczow i inni" w reżyserii Stefana Wintera i scenografii Karola Gajewskiego.

W Sztokholmie odnaleziono rękopisy Brechta

W Sztokholmie odnaleziono nowe rękopisy Bertolta Brechta. Pochodzą one z okresu pobytu pisarza na emigracji w Szwecji. Są to szkice do sztuki Brechta, której głównym bohaterem miała być historyczna postać — szwedzki bojownik o wolność Engelbrekt, a także wiersze, których część nie była dotychczas opublikowana.

Utwory te, zajdujące się w posiadaniu Biblioteki Królewskiej w Sztokholmie, wzbogacą wystawę jubileuszową, która zostanie otwarta w siedzibie tej placówki w kwietniu przyszłego roku z okazji 25 rocznicy przybycia Brechta do Szwecji.

(Kt-PAP)

Nowy numer „KAMENY"

przynosi szereg interesujących pozycji. I tak piszą w nim: Maria Bechczyc-Rudnicka — „Teatr i varia" (O wyjeździe Teatru im. J. Osterwy do Jugosławii), Wincenty Kawalec — „W oflagach", Jerzy Dostatni — „Diabelskie machinacje pułkownika Kowalowa", Ireneusz Jan Kamiński — „Kłopoty planowania", Anna Kamieńska — „List z Rybnika", Józefa Radzymińska — „Spotkanie z węglem", Zbigniew Wawszczak — „Radości i troski", Stanisława Gogołowska — „Etyka i... pobożność", Włodzimierz Łoziński — „Uparty młynarz", Krzysztof Głogowski — „Puławy in statu nascendi", Edward Stachura — „W polu".

Poza tym przegląd prasy, kronika kulturalna i in.

ZBLIŻENIA

(Ciąg dalszy ze str. 3)

wykorzystujemy w roku bieżącym prawie 340. Jest to rezultat rozsądnej współpracy Wydziału Kultury Prez. WRN z „Filmosem".

Można by tych przykładów przytoczyć więcej, ale nie o to przecież idzie. Ilustrują one w pewnym sensie niedoceniany jeszcze ciągle kierunek pomyślnego rozwiązywania szeregu problemów w tej pracy poprzez istniejące w naszym systemie władzy drogi i możliwości. Nie poprzez rejtanowskie rozdzieranie szat, lecz mądre, we właściwym czasie, pod właściwym adresem kierowane postulaty i propozycje, przez codzienne pilnowanie własnych spraw i zyskiwanie dla nich coraz to nowych sojuszników.

Nic z tych trzyletnich dobrych praktyk nie straciło na aktualności. Może dziś w okresie, gdy pilniej niż kiedykolwiek indziej musimy oglądnąć każdy wydany grosz, w większym jeszcze stopniu potrzeba poznawać mechanizm, który rządzi problemami kadr, bazy lokalowej, środków na działalność.

Kilkugodzinna dyskusja na posiedzeniu Egzekutywy wskazywała, że problem rozwoju kultury na wsi, ma dziś pod koniec 1963 roku szereg nowych elementów wymagających praktycznych rozwiązań.

Weźmy dla przykładu akcję „Telewizor". Koncepcja wysunięta na ostatniej sesji WRN przez Komisję Oświaty i Kultury WRN znalazła niemal natychmiastowy odzew w Związku Młodzieży Wiejskiej.

Sprawa jest prosta. Telewizja przez swą ogromnie atrakcyjną siłę oddziaływania cieszy się na wsi dużą popularnością. W szeregu ośrodków pracy k. o. w Kolbuszowskiem z powodzeniem wykorzystuje się ją w pracy politycznej, w szkoleniu rolniczym, jako materiał ilustracyjny do wykładów. Przykłady innych województw uczą, że w ciągu niedługiego czasu można by wiejskim placówkom kultury przysporzyć wiele telewizorów.

Trzeba, aby rady narodowe zastanowiły się nad możliwością stworzenia pewnego funduszu, który byłby uzupełnieniem społecznie zebranych środków.

Już dziś, mimo że dotąd nikt nie podjął decyzji o dofinansowywaniu ze strony rad narodowych tej akcji, w ZMW notujemy kilkadziesiąt przykładów samorzutnego organizowania się społecznych komitetów zbiorowego zakupu telewizorów. W ich skład wchodzą przedstawiciele spółdzielczości, rolnicy, dzieci zbierające na ten cel makulaturę...

Inicjatywa ta spotkała się z pozytywną opinią członków Egzekutywy. Czy spotka się również z pomocą rad narodowych?

Dyskutanci zabierający głos w dyskusji wiele miejsca poświęcili treści, formom i metodom pracy kulturalno-oświatowej na wsi. Jest to zupełnie zrozumiałe.

Realizuje się u nas szereg propozycji oparcia działalności kulturalno-oświatowej o szkołę, bibliotekę z czytelnią, o klubo-kawiarnię, świetlicę.

Gdzie i w jakiej formie należy stwarzać priorytet poszczególnym koncepcjom?

Informacja przedstawiona Egzekutywie nie pominęła spraw drażliwych, wymagających praktycznych posunięć ze strony administracji wszystkich szczebli. Sama zaś uchwała WRN powinna — zdaniem Egzekutywy — doczekać się raz jeszcze szczegółowego przedyskutowania. Osiągnięte dzięki niej rezultaty nie mogą być usprawiedliwieniem szeregu zaniedbań, jakie zaobserwowaliśmy w ostatnich latach.

Nie jest sprawą dziennikarza proponowanie przedmiotu takiej dyskusji. Chciałbym jedynie przypomnieć kilka spraw, które są sygnałem alarmowym, że dzieje się coś niedobrego...

Jesteśmy województwem o ogromnej płynności kadr w resorcie kultury. Część tego procesu usprawiedliwiona jest czynnikami obiektywnymi (sprawy finansowe, przeniesienia, zmiana zawodu itp.).

Ale co może usprawiedliwić fakt, że w ciągu 3 niespełna lat zmienia się w powiatach 26 kierowników wydziału kultury? Że w niektórych powiatach zmiana na tym stanowisku następuje w roku dwa i trzykrotnie? Badania prowadzone w latach ubiegłych przez Rzeszowską Delegaturę NIK na zlecenie Sejmowej Komisji Kultury w pełni te fakty potwierdzają...

Czy nie z polityki kadrowej w resorcie kultury wziął się popularny dowcip, że kierownik jest jak ziemniak, co wsadza się go na wiosnę a jesienią... wykopuje?

* * *

Oto inny przykład. Szczycimy się dużą liczbą bibliotek publicznych. Pod względem ich liczby jesteśmy bodajże na drugim miejscu w Polsce za województwem warszawskim. Tymczasem jak wynika z badań przeprowadzonych przez Tadeusza Zarzębskiego [illegible] wiejskich placówek bibliotecznych w województwie rzeszowskim mieści się w pomieszczeniach poniżej 20 metrów kwadratowych powierzchni, bądź w pomieszczeniach niesamodzielnych.

Bardzo oszczędne normy ustalone przez Ministerstwo Kultury i Sztuki dla placówek tego typu wynoszą 26 m kw.

To prawda, że wzrosła u nas dwukrotnie liczba imprez artystycznych organizowanych na wsi przez placówki zawodowe. Ale czy wiecie jak często statystyczny mieszkaniec przeciętnej statystycznej wsi naszego województwa ma szansę zobaczenia takiej imprezy? Raz na pięć, sześć lat...

* * *

40 proc. kin wiejskich w województwie rzeszowskim otrzymało nową aparaturę kinową. To imponujące! Tylko że na jedno kino wiejskie przypadało w 1961 r. w Rzeszowskiem 17.000 mieszkańców zamieszkujących 17 wsi... Są powiaty, gdzie wskaźnik ten wynosił dwadzieścia kilka tysięcy.

I ostatnia uwaga, wydaje mi się na czasie. Zbliża się zima, przyjdą śniegi, mrozy. Przyjemnie jest przyjść do jasnej, dobrze ogrzanej świetlicy, czy czytelni. Wstydliwą sprawą jest przypominanie gromadzkim radom narodowym o tak podstawowym obowiązku, jak dostarczanie opału, wstydliwą tym bardziej, że większość z nich w ogóle zlikwidowała środki na prace związane z utrzymaniem czystości i opalaniem placówki. Czynności te wykonują sami bibliotekarze.

Można by znacznie poszerzyć listę wlokących się za nami paradoksów, zaciemniających wiele znakomitych czasami rezultatów w pracy, której ani zważyć, ani wymierzyć się nie da.

Sygnalizuję je niemal anegdotycznie, choć za każdym stoi istotny problem wymagający poważnego potraktowania.

To jest też główna przyczyna, dla której pozwalam sobie o nich przypomnieć.

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: redaktor naczelny 4775, zastępca redaktora naczelnego 4616 zespół redakcyjny 2056, 2057 — wewn. 138.